

Du ju noł łaer is maj samolot

7 czerwca 2016

Kto lubi Latający Cyrk Monty Pythona, ten wie, co mam na myśli, pisząc poniższy tekst. Lata całe myślałem, że chłopcy z Cyrku wymyślali historyjki przy pomocy sporej ilości piwa. Do czasu gdy nagle los rzucił mnie na lotnisko, a tam przecież lata się do woli, jak to w cyrku. A ja muszę tam pracować.

Ludzie, nawet ci najbardziej inteligentni, życiowo doświadczeni, otrzaskani z przeciwnościami losu i nawet najwięksi cwaniacy, w momencie wejścia na teren lotniska dostają po prostu małpiego rozumu i kropka. Nie mam zielonego pojęcia, co ma w sobie architektura czy atmosfera tych obiektów, że powoduje nagłe zwarcie w synapsach podróżników, zawieszając im definitywnie działanie mózgu. Nawet ci najbardziej odporni na stres nagle prezentują poziom intelektualny paproci doniczkowej i zachowują się jak zaczadzony chomik. Ten proces zaczyna się w momencie opuszczenia przytulnego i przyjaznego człowiekowi wnętrza taksówki, z chwilą postawienia walizki na chodniku przed lotniskiem. W tym ułamku sekundy ludzie tracą umiejętność czytania, kojarzenia faktów, wyciągania wniosków i decydowania na tej podstawie o swoich dalszych poczynaniach.

A ja tam pracuję...

PUDDING ZAMIAST MÓZGU

Zastępy fachowców od ergonomii i technik komunikacyjnych głowią się całymi latami, jak ten fenomen zachowania ludzkiego określić. Wymyślono więc piktogramy opisujące w dość prosty sposób wszelkie możliwe sytuacje, starając się wprowadzić ład w kłębowisko myśli i emocji podróżnego. Miesiącami sztaby ekspertów testują barwy i kształty znaków topograficznych, mających w założeniu ułatwić globtroterom orientację w obcym im terenie. Wszystko to na nic.

Średnio rozwinięty umysłowo uczeń piątej klasy szkoły specjalnej po trzech sekundach studiowania słupa informacyjnego jest w stanie zorientować się, gdzie jest toaleta, gdzie hala przylotów, w którym kierunku znajduje się restauracja, a także że do hali odpraw jedzie się w górę tymi to oto ruchomymi schodami. Zorientuje się w tym każdy, ale nie podróżny, któremu widok lotniska robi z mózgu pudding waniliowy.

Co robi więc przeciętny obywatel by nie wpaść w stan paniki? Jak to co – zadaje pytania. Nie jest to złe wyjście sytuacji, które mogłoby świadczyć nawet o zachowaniu resztek zdrowego rozsądku. Mogłoby, gdyby nie to, że taki podróżny pyta o wszystko i to pierwszą napotkaną na swej drodze osobę, która wydaje mu się być pracownikiem lotniska. Jest mu wszystko jedno czy zwraca się do sprzątaczk z mopem czy do gościa pchającego wózki bagażowe.

W mniemaniu podróżnego każdy, kto pracuje na terenie lotniska powinien mieć w jednym palcu plan odlotów i przylotów, znać ze szczegółami topografię budynków oraz tysiąca hektarów terenu; powinien biegle posługiwać się szesnastoma językami, znać połączenia komunikacyjne łączące lotnisko bezpośrednio z dowolnym punktem Europy, jak również znać kurs chińskiego juana obowiązujący w tej chwili w Gujanie, cenę biletu autobusowego z Kenitry do Dar el Salam w przeliczeniu na euro i na koniec jeszcze wiedzieć, czy potrzebne są tam szczepienia przeciwko śwince.

A ja tam, kurde mol, pracuję...

KTÓRĘDY DO MOJEGO SAMOLOTU?

Doświadczeni pracownicy personelu naziemnego, nawet gdyby to wszystko wiedzieli obudzeni po pijanemu o trzeciej nad ranem, gdyby posługiwali się biegle językiem laotańskim, perskim i pismem węzełkowym Kipu, a w głowie mieli trójwymiarowy plan wszystkich europejskich lotnisk, mieliby spore trudności

komunikacyjne. Powód jest jeden.

Każdy, ale to każdy podróżny myśli, że ów pracownik jest jasnowidzem i umie czytać w myślach, zadaje więc pytania pozbawione jakiegokolwiek sensu. Podstawowe pytanie globtrotera, zadawane jeszcze na chodniku brzmi: – Którędy do mojego samolotu? Nowicjusze-altruści starają się zagrać z podróżnym w dziesięć pytań, takich jak: dokąd pan leci (na urlop), ale konkretnie dokąd (do Afryki), ale jakimi liniami lotniczymi (Podróże z Wackiem firma z Grudziądza), do jakiego miasta (Las Palomas albo coś takiego). Tracą przez to cenny czas i nerwy. Doświadczeni (jak ja) odpowiadają po prostu: – W górę, na lewo. Doświadczeni wiedzą, że nie ma najmniejszego znaczenia, jakiej udzielią odpowiedzi, gdyż globtroter zapamięta instrukcję najwyżej na siedem i pół sekundy i już dwadzieścia metrów dalej napadnie następnego biedaka, który wszystkiego czego chce, to uciec jak najdalej od tego diabelskiego miejsca.

Przeważnie to jestem ja, bo ja tam pracuję...

ŻELAZKO CZY PIWKO

W końcu jakimś cudem udaje się podróżnemu dotrzeć do hali odpraw, a co sprytniejszym – po jakiejś godzinie z okładem i przetestowaniu pół setki pracowników – do okienka „check-in”. Gdy uda im się już skompletować trzynaście walizek, siedem toreb bagażu podręcznego, trójkę dzieci, które właśnie rozbiegły się we wszystkich kierunkach i chcą koniecznie łoda, hamburgera albo pić, gdy uda im się już odnaleźć czwarte dziecko, które jeździ od pół godziny w górę i w dół ruchomymi schodami, gdy przypomną sobie że parasol słoneczny został w taksówce wraz z babcią, która przyjechała ich odprowadzić, stają przed następną przeszkodą czyli odprawą biletową.

Miła panienska w gustownym uniformie z apaszką stara się nawiązać kontakt owocujący wydaniem karty pokładowej. Nim jednak do tego dojdzie panienska owa żąda rzeczy

niewyobrażalnych, zadając całe mnóstwo podchwytliwych pytań mniemając zapewne, że nasi podróżni to chodzące encyklopedie. W pierwszej kolejności panienka żąda jakiś dokumentów tożsamości i biletów.

Tu powstaje problem kto je ma, w której są torbie i kto ma kluczyk od zamka patentowego (przeważnie ma je babcia jadąca właśnie z parasolem do domu taksówką). Gdy ta sprawa zostaje już odfajkowana, dziewczyna z iście sadystycznym uśmiechem pyta, które z bagaży mają być odprawione a które są bagażem podręcznym. W tym miejscu co sprytniejsi dla zyskania na czasie rzucają niby od niechcenia: – English, please. Panienka jednak nie daje za wygraną, z olimpijskim spokojem stwierdza, że ona już od kilku minut mówi przecież po angielsku i bezwstydnie powtarza uprzednio zadane pytanie.

W tym momencie przeważnie dochodzi do ekscesywnej kłótni rodzinnej, gdyż w torbie w której jest 13,5 kilograma jedzenia i napojów przeznaczonych na dwugodzinny lot, sprytna żona umieściła także żelazko, czajnik i dwa kilo cukru na wszelki wypadek, a mąż zdołał jeszcze wepchnąć sześć piw.

Torba przekracza dopuszczalną wagę bagażu podręcznego i trzeba wszystko przepakować. W końcu jakieś bagaże lądują na przenośniku i znikają w czeluściach lotniskowych. W tym miejscu najmłodsze z dzieci krzyczy, że w torbie był GameBoy i ono chce swojego GameBoya, teraz już natychmiast. Tarzające się i tupiące dziecko godzi swym wrzaskiem zwaśnionych rodziców, którzy do tej pory walczyli o to, czy w podręcznym ma zostać piwo czy żelazko.

Trzeba je uspokoić, podać spray na astmę i rozdzielić inne dzieci które z nudów pobiły się w międzyczasie, przeprosić innych pasażerów, którym dzieciaki (nim się pobiły) pourywały wywieszki z adresami. Po spacyfikowaniu latorośli rodzina udaje się do kontroli osobistej, niosąc resztę bagażu, wycierając gile z nosa rozdzielonym uprzednio bojówkarzom, ciągnąc po posadzce nadal rozpaczającego za GameBoyem

gówniarza. Nic więc dziwnego, że bilety niesione są sprytnie w zębach, gdyż każdy człowiek, nawet ten który ma czwórkę dzieci, ma tylko dwie ręce.

Ja też do cholery, choć tam pracuję...

...więc o tym, co dzieje się potem napiszę innym razem. Dziś pracowałem dziewięć godzin na berlińskim lotnisku, z perspektywą nadchodzącego sezonu urlopowego , więc łapy mam długie jak szympans od rozmów na migi a jęzor zwisa mi do pasa i tylko jedno marzenie: napić się łąskacza z lodem i Colą.

Na lotnisku pracuje już ponad dziewięć lat i jestem zdania, że każdy kandydat na studia z dziedziny psychologii lub psychiatrii powinien zaraz po zdaniu egzaminów zostać wysłany na obowiązkowe trzymiesięczne praktyki na jakiekolwiek lotnisko. Po tej przymusowej konfrontacji z ludem pracującym miast i wsi powinno mu się zadać jedynie trzy pytania: Czy jest przekonany, że chce tych wszystkich ludzi leczyć? Czy nadal jest pewien, że jest wystarczająco odporny psychicznie by to czynić? I po trzecie, czy nadal uważa, że to coś da?

Nie da nic, ja to wiem, bo ja tam, do jasnej cholery, pracuję!

Autorstwo: Włodek Kostorz

Źródło: MediumPubliczne.pl